

Jak zmieniła się Unia na przestrzeni lat? Czy niektóre „zwyczaje” przetrwały do dzisiaj? Zapraszamy do przeczytania wspomnień jednego z absolwentów naszej szkoły, który ukończył ją kilkanaście lat temu.

Chodziliśmy do pierwszej klasy, trzech chłopaków z jednego podwórka. My i dwóch starszych kolegów dojeżdżaliśmy do szkoły autobusem linii 9 lub 11. To były takie stare Jelcze „ogórki”, czasami doczepiano do nich przyczepę, czyli ucięte pół autobusu „ogórka” na dyszlu. Jak był tłok, puszczałyśmy hasło „proszę przygotować bilety do kontroli”..., a potem była szkoła.

Byłem w klasie matematyczno-fizycznej, matematyki uczył nas profesor Przemysław Oczkowski. Któregoś dnia, kiedy mieliśmy dwie godziny tego przedmiotu, profesor na pierwszej lekcji wyprowadzał dowód na jakieś twierdzenie matematyczne. Po przerwie stwierdził, że źle wyprowadził ten dowód i nie chciało mu się ścierać tablicy. Wtedy powiedział nam, żebyśmy szukali, gdzie popełnił błąd. Przesiedzieliśmy godzinę „matmy” w milczeniu, udając, że szukamy błędu. Gdy zadzwonił dzwonek na przerwę, wstał kolega i wskazał profesorowi, gdzie jest pomyłka (było to w pierwszej klasie). Prof. Oczkowski powiedział mu, że może się nie uczyć matematyki już do końca czwartej klasy.

Na języku polskim mieliśmy za zadanie przeczytać „Krótką rozprawę między trzema osobami, Wójtem, Panem a Plebanem”. Profesor Anna Suszyna poprosiła jednego z kolegów, żeby wyrecytował z pamięci zadany fragment wiersza. Trzeba było dokończyć cytata: „Ksiądz w kościele głośno krzyczy, na cmentarzu beczka...”, kolega nagle się zaciął, zapomniał. Oczywiście podpowiedzieliśmy mu, ale celowo źle. Zabrzmiało to tak: „Ksiądz w kościele głośno krzyczy, na cmentarzu beczka kwiczy”. Nie obyło się bez dwójk i „kupy” śmiechu.

Na języku polskim siedziałem w ostatniej ławce przy ścianie. Przed nami miejsce zajmował kolega, który miał wielki dar wymowy i mówił jak ksiądz kazanie. Kiedy wpadał w trans potrafił mówić przez piętnaście minut. Musiał jednak mieć wtedy długopis, który obracał w palcach. Często dla żartu, żeby przestał mówić, chowaliśmy mu długopis, a jak to nie pomagało, to kłuliśmy go cyrklem w tylną część ciała. Wyćwiczyliśmy go do tego stopnia, że przed każdym zamiarem zgłoszenia się na lekcji odwracał się do nas i pytał o zgodę.

Z kolei na języku rosyjskim wpadliśmy na fantastyczną metodę, jak uniknąć tej lekcji. Kto nie chciał iść, dawał koledze bądź koleżance teczkę, którą ten kładł obok na krześle. Gdy pani

W kleszczach Unii

Wpisany przez Wiktoriasas

sobota, 15 marca 2014 18:42 - Poprawiony sobota, 15 marca 2014 18:44

profesor zaczęła sprawdzać listę obecności i wyczytała tego, kogo akurat nie było, wtedy sąsiad z ławki mówił: teczka jest, zaraz przyjdzie. Tak udało nam się „rolować” panią profesor przez dwa miesiące.

Zawsze na długiej przerwie wpadaliśmy na salę gimnastyczną, żeby pograć w kosza. Czasami sor Kulesza nie chciał dać piłki. Wtedy wyciągaliśmy naszą małą piłkę do tenisa i graliśmy ją. Postawione materace do ćwiczeń „robiły za bramki”. Podczas jednej gry (przed studniówką) kolega tak chciał kopnąć piłkę, że zamiast w nią trafił w drewniane drabinki i uszkodził sobie nogę. Kazaliśmy mu się położyć przed bramką i w ten sposób do końca meczu został bramkarzem. Na studniówkę poszedł z nogą w gipsie.

Rzecz się dzieła na PO (przysposobienie obronne). Do sklepu „Monolux” przywieźli płyty winylowe znanego zespołu. Dwóch kolegów, obydwa w okularach, wpadli na pomysł, aby zwolnić się z lekcji i pójść kupić płyty. Jeden, mini śrubokrętem czy szczytorem wykręcił śrubkę z części oprawki okularów, tak że nie mógł ich używać. Wtedy drugi kolega w okularach powiedział, że może go odprowadzić do domu, na co zgodził się nauczyciel. Po wyjściu z sali skręcili okulary i kupili dla całej klasy płyty w „Monoluxie”.

Kiedyś w Programie Trzecim Polskiego Radia o godzinie 12.05 pan Piotr Kaczkowski zorganizował plebiscyt wśród słuchaczy na listę wszechczasów zespołu Led Zeppelin. Uciekaliśmy wtedy z godziny wychowawczej i szliśmy do „dziadka” (obecny Pałac Parysów) i na drewnianych, walących się schodach słuchaliśmy tej listy. Wychowawczyni, po maturze, powiedziała nam, że i tak wie, gdzie chodziliśmy: do cukierni Chmielewskiego.

Było to w czwartej klasie. Pan dyrektor Maleska „złapał mnie na fajce” w szatni na dole i kazał przyjść do swojego gabinetu. Wieść się rozniosła po szkole, że sam dyrektor mnie złapał. W gabinecie zadał mi jedno pytanie: Czy rodzice wiedzą, że palisz? Powiedziałem, że tak i dał mi spokój.

W grudniu 1981 roku pojechaliśmy na wycieczkę do Krakowa. Wróciliśmy do Lublina 13 grudnia nad ranem. Mieliśmy chyba szczęście.